

CHABER.

—o—

Miedzy zbożem złocistem,
W swojej modrej sukience,
Świeży chaber się kłania
Purpurowej jutrzence.
Hej! już słonko powstało,
Na kwiatuśkach schną rosy,
Wnet na polu zabrzękną
Ostre sierpy i kosy.

Idą dzielni żniwiarze
I żniwiarki urocze,
Wiatr rozwija swawolnie
Czarne, złote warkocze.
A dziewczę zrywają
Modre chabry garściami,
Pięknie stroją swe głowy,
Niżli damy perłami.

Dzień się kończy upalny,
Słońce zwolna zachodzi
I żegluję za góry
W krwawo-złotej powodzi.
Dzwoni się ozwał z kościółka,
To na „Anioł” hen dzwonią,
Płyną głosy w niebiosy,
Po przestrzeni się gonią.

Wiją wianki dziewczuchy
Z koralami na szyi,
Niosą kwiaty w ofierze
Do stóp Pauny Maryi.
Jest za wioską figura,
Tam je składa :lrużyna:
Za miłego modlitwę
Wznosi hoża dziewczyna.

Ach, i długo po lecie,
Na przydrożnej figurze,
Modre chabry jasnieją,
Wznosząc główki ku górze.
Smutna jesień nadejdzie,
A trwa ciągle kwiat starý,
Jako dowód miłości
I nadziei i wiary.



PRZYPOWIEŚĆ.

Przez puszcę szła wędrowców gromadka; u wuijścia się zatrzymali — drogi nie znali. Rada w radę. Każdy rzekł słówko swoje, każdy bowiem od ludzi slyszal o sposobie, w jaki się puszcę ową przebywa. Więc jeden prawil o gwiazdach, wedle których się Arabowie kierują w pustyni; drugi o mchach, porastających na stronie, ku północy zwróconej; trzeci o możliwości znalezienia przewodnika; czwarty o natchnieniu, którego przykłady przytaczał; piąty, szósty o sposobach innych; a był jeden, co twierdził, że przechodzących przez las ten ludzie ślady po sobie pozostawić musieli, ślady te przeto odszukać i trzymać się ich należy. Zgodzono się na radę tę ostatnią i śladów szukać poczęto. Zabrało to czasu i kosztowało trudów niemało. Zna-

leżono jednak w końcu: na ścieżkach stóp odciski i na drzewach znaki. Wędrowcy puścili się w kierunku, jaki ślady te wskazywały. Szli długo, długo, aż najprzód jednemu, następnie drugiemu, trzeciemu i t. d. wydało się to za długo, tem bardziej, że drożyna, pniów i zawał pełna, trudną i nużącą była. Słyszeć się więc dały sarkania:

— To ślady błędne... Odyby były dobre, jużby nas z lasu wyprowadziły...

Napróżno przedstawiali im niektórzy wielkość puszczy i wynikającą stąd niemożliwość rychłego onej przebycia.

— I ci, co przed nami szli, szli długo, nużyli się i krwawili, zanim wyszli...

— Nie!... — odpowiadali sarkający — to ślady błędne...

— Ludzkie... — perswadowali im tamci.

Perswazyja ta z razu do przekonania trafiła; czas jakiś wędrowcy szli razem; lecz przeciągający się po pniach i wertepach pochód i powiększające się znużenie wywołały znów sarkania, którym towarzyszyły wątpliwości i podejrzenia. Podejrzenia w wyrazie swoim ogólnym brzmiały, jak następuje:

— Ci, co znaki te czynili, poczynili je w tym umyślnie celu, ażeby w błąd wprowadzić nas... Znużymy się jeno daremnie i zginiem...

— Więc cóż?... — zapytali ich stronnicy trzymania się śladów ludzkich.

— Chwyćmy się innego do wyjścia z puszczy sposobu...

— Jakiego?...

Wędrowce w głębi puszczy do rady stanęli. Tym razem narada odbyła się nie tak, jak poprzednio. Różnice zdań wyraziły się pod postacią zarzutów i oskarżeń, wypowiedzianych tonem ostrym, a podszytych pretensjami, gniewem i uszczypliwością. Sprowadziło to rozdwojenie. Jedni upierali się przytrzymaniu śladów ludzkich.

— Kiedy inni przeszli, to i my przejdziemy..

— Nie!... nie!... — wołali trudnościami zrażeni przeciwnicy sposobu tego. — Inni, to nie my.. Myśmy głupstwo wielkie popelnili, żeśmy was posłuchali... My...

Zrażeni o sobie dużo prawili, obwiniając przytem tych, co się za trzymaniem śladów oświadcza-
czali; obmyślali sposoby i obmyślili dwa: jeden — torowania przejścia nowego za pomocą iścia na oślepe, drugi — zdania się na losy i pozostania w puszczy, jeżeli się nie trafi przewodnik, drogi świadomy. W sposób ten gromadka rozbiła się na gromadek trzy. Jedna poszła dalej śladami ludzkimi; druga ruszyła przez manowce; trzecia, pochodząca zaniechawszy, oglądała się za owocami dzikimi, grzybami i korzonkami jadalnymi, w oczekiwaniu na przewodnika.

Na czem-że się wędrowka owa skończyła? Rzecz prosta: do mety doszła pierwsza jeno gromadka i, gdy doszła a wypoczęła, wyprawiła w głąb puszczy wysłańców, celem odszukania i wyprowadzenia gromadek innych. Wysłańcy odszukiwali rozbitków i wyprowadzili ich po jednym. Nie poodszukiwali jednak wszystkich, niektórzy bowiem poginęli — rozszarpani przez bestye dzikie.

T. T. Jeź.

PRZYGODY MOJEJ GRUSZKI

Miałem szczepek gruszkowy, przyjęty wybornie w mej glebie. Kupiłem go od przyjaciela, botanika i nadzorcy ogrodu Franciszka Ente w Peszcie. Drzewko wzrastało pięknie, odróżniając się znacząco między również wspaniałymi współbraćmi; zwróciłem nań uwagę, darząc je łaską, która polegała na tem, iż co roku starannie obcinać je kazałem.

Mógłbym służyć wyczerpującym życiorysem drzewka, gdyby ktoś tak, jak ja, znajdował w tem upodobanie: opowiadałbym, jak drzewina pierwotnie tylko cztery gałązki miała, jak zaczynała pokrywać się liśćmi; dalej następowałby opis wichru okrutnego, który jedną z nich odłamał, lecz inna natomiasz wyrosła, potem jak odkryłem przy korze zwiniętą małą poczwarkę, — jak młode latorośle skręcały się w rurki, niby cygareta itd. itd. Ale toby nikogo nie interesowało.

Zacznę dopiero od epoki, w której przy jesiennem obcinaniu spostrzegłem zawiązki owocowe na gałązkach. O! radość to była, radość, jaką wyobrazić sobie może ogrodnik-amator, widzący drzewko, które sam zasadził, okryte pączkami obiecującymi! Policzyłem je najskrupulatniej. Było ich ściśle sto. Rachowałem raz jeszcze, przyczem, niestety, połą surduta odrzuciłem jeden. O! jakże żałowałem tego kielka! Myślałem, czyby nie można go jako napowrót przykleić? bo co to za szkoda! W takim jednym zarodku tkwi cała gruszka i to nie tylko jedna, najmniej pół tuzina! Wszystkie bez wątpienia będą woniące, soczyste, słodkie i miękkie jak masło. I pączek złamał się przedwcześnie! Ze smutkiem włożyłem go pomiędzy kartki jakiejś książki.

W ten sposób pozostało na drzewie tylko dziewięćdziesiąt dziewięć owocowych zawiązków.

Na wiosnę oglądałem drzewko na nowo: miało wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć kwiatowych baldaszków, które nabrzmiewały, kształciły się, wreszcie ślicznie zaczęły pękać. Jednego poranku z południowej strony wszystkie kwiaty otworzyły kielichy. Naza jutrz był Wielki Piątek, w nocy powstał mroźny wichur, zwarzył na drzewku otwarte pąki kwiatowe co do jednego, — pozostały już tylko te, które cierpliwie oczekiwały cieplejszych dni, — było ich tylko na całym drzewku pięćdziesiąt.

Te strzegłem należycie.

Rano, w południe i wieczór staczałem systematyczne walki z nieprzyjaciółmi, gromadzącymi się wokoło drzewka, a było ich niemało. Naprzód przyszła szara mąjówka. Chrzaszczyk ten posiada nienasyconą żądzę w kielich kwiatowy się wsunąć, by zawiązki owocowe popodgryzać. Mimo czujnej gorliwości dwudziesty procent mych kwiatów uległ zniszczeniu.

Gdy sezon jej przeminął, przybył liliowy jabłkowiec. Nie mogę zrozumieć, co za przyjemność znajdował ten łotrzyk w odcinaniu łodyg owocowych? Niemniej codziennie chwytalem go na gorącym uczynku. I on też uszczuplił nadzieje moje w tej samej ilości. Największe uszanowanie jednak miałem przed jego starszym bratem, złotoskrzydłym brzoźcem, gdyż zaledwo krawcujący jabłkowiec poszedł do licha, zaledwo owoce powiększać się zaczęły, wstąpił on w inne ślady bezzwłocznie — długim ryjaczkiem na kształt świdra przewiercał owoce do wnętrza i składał tam jaja, nie dbając wcale, czy owoc ucierpi na tej operacji, czy nie. Tu przynajmniej był cel jaks, jakiś zamiar obmyślany. Znowu dwudziesty pro-

cent mych gruszek padł ofiarą owej macierzyńskiej miłości chrząszcza.

Wtem zerwał się huragan straszliwy i cały tuzin gruszek strząśł z drzewa!

Pozostało tylko trzynaście. Fatalna liczba.

Niestety! dla brzoźowca, wierzącego swym ryjkiem, skórka jesiennych gruszek już za gruba, ale nie wydała się taką gryzącemu złotowcowi. Dobroczynna natura wszystkie stworzenia opatrzyła w różnorodne narzędzia, w świdry, nożyce, wytryskiwacze, aby, gdy jedno zwierzątko się znuży, inny robotnik natychmiast choć z innego oddziału mógł je zastąpić. Wskutek takiego urządzenia zostało mi tylko sześć gruszek na drzewie.

Z setki sześć, zaprawdę procent niesłychany!

Rumieniły się pięknie — rosły z dniem każdym. Prawdziwa rozkosz była patrzeć na nie. Wtem jednego pogodnego poranku osy je rojem obsiadły. Zakosztowawszy wonnej słodczy, zręcznie dobrały się do środka i wydrążyły gruntownie owoc, tak iż z trzech gruszek pozostała jedynie twarzą, okazała łupina.

O, już tych ostatnich trzech gruszek nie dam tknąć nikomu, ale jakże mam je ochronić? Zrobiłem nad każdą tiulowe okrycie w formie krynoliny, przymocowując je z osobna do drzewa tak, żeby już ani burza, ani grad, ani żaden morderczy chrabaszcz dostać się do nich nie mógł.

Jednego dnia, właśnie co tylko wstałem, przypatrzyłem się drzewku z daleka i o zgrozo! widzę wyraźnie, iż z trzech krynolin, jedna tylko jest rozpiętą należycie, a w tej chwili wilga, małe ptaszę zielonawo-żółte, spokrewnione z ptakami rajskimi, przesunęła się koło gałęzi, trzepocąc radośnie skrzydełkami. Dwie największe gruszki spożyła na śniadanie!

A więc już tylko jedna! Jakżeż jej cenne życie mam zabezpieczyć?

Postanowiłem w końcu otroczyć owoc grubym drutem, przez który żaden ptak już się nie docisnie.

Jutro zaś zerwę ją już; pokażę potem w rodzinem gronie, aby każdy z członków rodziny mógł nasyć się jej zapachem niezrównanym; za trzy dni są moje imieniny, wówczas rozkroję ją na tyle kawałków, ile osób przyjdzie mi winszować, każdy musi skosztować tego delikatesu, każdy pochwalić gatunek wyborny. O tak być musi, myślałem, snując dalej nie barwnych marzeń.

O iście tak się stało!

Ostatnią moją gruszkę z kłatką drucianą skradł w nocy jakiś uczciwy człowiek!

O tym robaku nie pomyślałem!

Maurycy Jokaj.



To czworo nadewszystko człowieka frasuje:
Kiedy swych własnych dzieci pogrzeb odprawuje,
Ody utraci majątność, gdy nieprzyjacielskie
Szczęście widzi — a głupie sprawy przyjacielskie.



WALKA POD WODĄ.

W pewnem francuzkiem czasopiśmie myślitwskiem niejaki pan P. opisuje zdarzenie, które w dziełach myślitwstwa do rzędu wyjątkowych słusznie zaliczyć można. W listopadzie roku przeszłego. za-

proponował mu pewien inżynier w Tulonie, aby z nim, oraz z jednym nurkiem z profesji, zrobił wycieczkę na podmorskie skały u wysp Hyerskich. Pan P. chętnie się zgodził, i wszyscy trzej, zaopatrzywszy się w nurkowe aparaty, puścili się łodzią na oznaczone miejsce. Aparaty zrobione z kauczuku, posiadają u kapturów miedzianych szklane okienka, oraz rurki kauczukowe, służące w części za przewody dla świeżego powietrza, w części za trąbki bądź słuchowe, bądź też głosowe, przez które się nurek porozumiewa z będącymi w łodzi towarzyszami; u nóg ma każdy ołowiane podeszwy żeby się łatwiej na dnie morskiem mógł trzymać. Kiedy pan P. w hermetycznym swoim aparacie spuścił się w morze, raptem zabębniło mu w uszach, tak gwałtownie, że aż struchlał z przestachu, sądząc, że to się woda do przyrządu jego wcisnęła; ale się uspokoił, pomiarkowawszy, że łoskot ten sprawiał powietrze, ciężarem jego ciała z wody wyparte. Co do wzroku, rozróżniał on wyraźnie otaczające go przedmioty, ale horyzont miał nadzwyczaj ograniczony, — o kilka kroków odeń, zaczynały się nieprzejrzone ciemności. Czucie jego podobnie znalazło się w stanie szczególnym: był prawie nieświadomym, czy miał pod nogami grunt

stały; zdawało mu się, że zupełnie wagę utracił; ruszał się, jakby unoszony w obłoku, ślizgał się, pływał stojący. Dalej tak opowiada:

„Inżynier i nurek zbliżyli się do mnie pod wodą. Chcąc rozmawiać i naradzać się względem dalszych swych kroków, stykaliśmy się wzajem głowami, przy czem metal dosyć wyraźnie z jednego helmu do drugiego dźwięk naszego głosu przenosił. Postanowiliśmy się udać na podwodne skały Hyerskie, na które mogliśmy się wgramolić przy pomocy swych aparatów. Zawołaliśmy więc przez trąbki głosowe na wiosłarzy łódkę pędzących, aby w tamtą stronę płynęli i poszliśmy powoli, po mięciuchnem i równem dnie piaszczystem. Znajdowaliśmy się 18 metrów pod wodą, przez którą blask słoneczny do nas dochodził, najczystsza barwa szmaragdowa omglony. Wkrótce ujrzelismy przed sobą skały, pokryte polypami, jak przepyszny kobiercem, a z ich szczelin strzelały morskie trawy i kwiaty, to zielone, to purpurowe, to żółte, to błękitne, jakich nigdy ani na ziemi, ani też w akwaryach nie spotykałem; algi, jak węże w zieloną sieć splecione, rozścielały się nad naszymi głowami; deptaliśmy po prześlicznych muszlach różnobarwistych, a roje ryb, o kolorach, kształtach



Obrazki z ostatniego trzęsienia ziemi we Francji.

1) Wydobywanie z pod gruzów zabitych i rannych. 2) Żołnierze, odgrzebuający zasypanego w stajni konia.

POLAK JESTEM.

Polak jestem z krwi polskiej,
Ojca, matkę polską mam,
I za wiarę swą polską,
W obronie swe życie dam.

*

Polska ziemia ma, Polska,
Równe, żyzne jej łąny,
Tu mi żyć jest najlepiej,
To jest mój kraj kochany.

*

Wiara polska najmiłsza,
To ozdobny mój wieniec,
Mogę się tem poszczycić,
Żem jest polski młodzieniec.

*

Mogę życie poświęcić,
Za Ojczyznę kochanie,
To jest naszą dążnością,
To me pierwsze żądanie.

*

Bądźmyż wszyscy tej myśli,
Nie trza tracić ufności.
Do ojczyzny kochanej,
Rwie się serce z miłości.

M. Poeczynek z Kacanówki

I rozmiarach najrozmaitszych, co chwila, już to ku nam podpływały ciekawie, już to jak zakłete raptem zniknęły. Byłem zachwycony, oczarowany!

Wędrowaliśmy tak blisko kwadransu, gdy nurek, który postępował po przedzie, stanął nagle i skinął, abyśmy się też zatrzymali. Poczem zbliżył się do nas i zawołał: „Włócznik!“*) Na ten wyraz ciarki mi przeszły! Siła bowiem i złość tego potwora dobrze jest znana, a ten, który ku nam nadpływał, był długi na dwa metry, oprócz włóczni wynoszącej pewno z połowę tego. W mgnieniu oka się naradziwszy, dobyliśmy sztyletów, któreśmy wzięli z sobą na tę wyprawę, i stojąc w miejscu, czekaliśmy na wroga, gdyż uciekać było już niepodobna. Konwulsyjnie ścisnąłem sztylet i rękę uzbrojoną położyłem na piersiach. Zrazu nam się zdawało, że się potwór nas boi, że się waha i chce odplynać; lecz raptem się zatrzymał, utkwil w nas czarne oczy niewielkie, zgiał się w kablak i skoczył. Złe wymierzył i tem się zgubił. Nurek nasz, poruszenia jego bacznie śledzący, umknął w bok, nim napastnik w niego ugodził, porwał go silną dłonią za włócznię, wymierzoną przeciwko sobie, i wbił mu sztylet w głowę. Krew trysnęła strumieniem, lecz woda ją w momencie splukała. W ślad za tem poszło drugie i trzecie pchnięcie. Potwór przewracał się, kurczył, wyprężał i miotał na wsze strony odważnym nurkiem, który włóczni jego z ręki nie puszczał, gdyśmy także na niego wpadłszy, żgali go sztyletami, to w kark, to w brzuch, to w głowę, jednym słowem gdzie tylko mogli. Siły ryby olbrzymiej z każdą chwilą słabły widocznie, aż wreszcie z rozplatanem podbrzuszem na wznak się przewróciwszy, z wolna na powierzchnię wody wypłynęła.

Nie życząc sobie wcale spotkać się raz jeszcze z taką przygodą, z której już może nie tak łatwo wyszlibyśmy ręką oborną, wróciliśmy zaraz do łodzi, gdzie swoje aparaty złożywszy, wyciągnęliśmy osobiwszą zdobycz na pokład. Nie wiem azali jest jadalnem mięso włócznika, którego nasi ludzie poćwiartowali. Myśmy tylko zdjęli zeń skórę, a inżynier kazał ją wypchać i dotąd zachowuje w swojej pracowni, na pamiątkę tej dziwnej walki w głębi morza“.

ZE WSPOMNIENIŃ HISTORYCZNYCH.

Dnia 23 czerwca 1601 r. odniosły wojska litewskie świetne zwycięstwo nad Karlsonem Szwedzkim pod Kokenhausen w Infantach.

Karlson chcąc dać pomoc oblężonemu przez Litwinów Kokenhausenowi, wysłał odsiecz. Dowiedziawszy się o tem hetman Radziwiłł, wysłał Chodkiewicza ażeby stawił czoło Szwedom. Chodkiewicz uszedłszy milę, wysłał na zwiady około 200 kozaków, którzy schwytali Szweda nazwiskiem Freidem. Od tego Chodkiewicz dowiedział się, że nieprzyjaciel stoi w odległości trzech mil i że za parę dni zamierza wy-

ruszyć. Chodkiewicz doniósł o tem hetmanowi, a ten rozkazał mu cofnąć się do głównej siły. Radziwiłł zamierzył teraz wspólnymi siłami armii litewskiej uderzyć na Szweda.

Tymczasem dziwy rozpowiadano o tym ostatnim. Mówiono że dla obrony przed atakami strasznej jazdy polskiej, prowadził razem piechotę pomieszaną z jazdą, że ma mnóstwo wozów, z których w razie potrzeby tabor może utworzyć. Nie zważał na to hetman litewski, stanął nieopodal od Kokenhausen, ścokdek trzymał Chodkiewicz, na prawem skrzydle z świetnymi szeregami jazdy królewskiej stanął Dorohostajski marszałek wielki litewski, na lewem Strabowski kasztelan parnawski z piechotą i działami polowemi. W drugiej linii stanął sam hetman Radziwiłł z wybo-rem jazdy, a jeszcze dalej w rezerwie na wzgórzu część piechoty z ciężką artylerją.

Szwedzi liczyli sześć tysięcy ludzi.

Karlson wziął najprzód szturmem wieś, będącą na froncie linii polskiej, osadził tę wieś piechotą i działami i rozwinął się o świcie dnia 23 czerwca do bitwy w półksiężyc. Najpierw ruszyło do boju lewe skrzydło nieprzyjacielskie, złożone z Niemców i Infantczyków, i uderzyło na Chodkiewicza tak dzielnie, że szeregi litewskie poczęły się chwiać a nawet pierzchać. W tej chwili Chodkiewicz widząc niebezpieczeństwo, spiął konia ostrogami, zatrzymał uciekających i porwawszy żelazne szwadrony husarzy natarł na wroga. Atak jak zwykle, był tak dzielny, tak szalony, że ława szwedzka zachwiała się, i strątowana końmi husaryi, uciekać poczęła. Współcześnie uderzył Dorohostajski i Strabowski. Nieprzyjaciel zachwiany szalonym atakiem husaryi, wszędzie ustępował, wtedy sam hetman Radziwiłł rzucił swą wyborową jazdę, i to czego nie strątowała i nie rozniosła koniami, to z kretesem rozpedziła. Zaraz potem Kokenhausen się poddał.

Z anegdotek tureckich.

XI.

Hodża w nocy słyży głośny spór dwóch ludzi przed sienią.

— Wstawaj — woła do żony — zapal świecę i zobacz, o co im chodzi.

Żona wstać z łóżka nie chce, wtedy on okręca się koldrą i wychodzi. Nieznajomi spostrzegłszy go, ściągają z niego koldrę i uciekają z całych sił.

Po chwili powraca.

— O co im chodziło — pyta żona.

— Spierali się o koldrę, ale jak ją z pleców moich zdarli, przestali się o nią kłócić.

XII.

Ktoś przyjechał na wizytę na noc do Hodży. Zagasił świecę i zabierał się do spoczynku. Za chwilę jednak zawołał:

— Hodžo podaj mi świecę, stoi po prawej twojej ręce.

— Czyś ty oszalał? — zawołał Hodża — ciemno jest w pokoju, czy podobna więc widzieć, która jest prawa ręka, a która lewa?

*) ryba morska, której szczeka górna wydłużona jest naksztalt miecza długiego.